№ 19. Warszawa, dnia 1 (13) Maja 1897 r. Rok XXXIII.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Jeżeli kiedybądź gniewaliśmy się na Maj, to nie na Maj bieżącego roku. I słońca dużo i ciepła i zieleni mamy, nad runiejącemi polami odzywają się dzwonki pieśni skowrończej, a w gąszczy leśnej, blisko siedzib ludzkich, symfoniczne koncerty słowików się rozpoczęły.

Skowronek! słowik!...

Pierś mi się podnosi westchnieniem i mimo woli wylata z ust piosnka litewskiego pieśniarza:

Ot, wesoły goniec, pieszczoch boży—Maj!
Ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj,
Kwitnie, woni, pieje, nosi wieniec z róż,
Rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz!
A! do szczęśliwych.

Koniecznie szczęśliwym być potrzeba, by odczuć rozkosz uroków i czarów wiosny.

Zapewne!

Ale i dla pasierbów losu ma wiosna kojący balsam na rany. Może smutek wpłynie do serca, że wszystko do koła gra i śpiewa, róż wieniec nosi, a on jeden, ten wydziedziczony syn ziemi przechodzi wśród kwietnych dróg z nieogarnioną tęsknota za szczęściem... Ten smutek jednak przepaja czar wiosny; jeżeli były wspomnienia błękitem owiane,—zbudzą się; jeżeli nic, prócz mroku nie zostało w przeszłości, słaby może, złudny może blask nadziei, drogich iskier parę zapali w duszy samotnej. Wiosna dla szczęśliwych jest pełnią szczęścia, dla nieszczęśliwych odrobiną pociechy.

Ani spostrzeżemy się, jak nasz gród mazowiecki wyludniać się zacznie. Podobni do ptactwa szukającego więcej światła, więcej ciepła jeszcze, wyruszą mieszkańcy Warszawy w cztery strony świata, dalej lub bliżej, byle tylko nie słyszeć huku miejskiego, pierś ochronić choć przez miesięcy parę od kurzu, jakim każda okrywa się ulica. Jedni zaludnią okolice Warszawy, inni na zachód się posuną, do gór, do jezior i do mórz...

Dużo ludności zabierze nam zagranica.

Ale—nim zabierze, pozostaje nieroztrzygnięte dotąd pytanie: dokąd mamy jechać, jakie okolice omijać?

Przypominamy tu sobie oburzenie prassy naszej na prusaków z powodu ich postępowania z rodzonymi braćmi naszymi w poznańskiem, na Szląsku i w Prusach. W rozkrwawionem do głębi sercu naszem powstała po raz pierwszy myśl jawna odwetu: „Ząb za ząb a oko za oko.“— Maksyma ta, niepraktykowana nigdy przez nas, o czem poświadczyć może dziejów naszych łańcuch długi—przez wszystkie niemal usta wypowiedziana została, a z tak niebywałą zaciętością, z taką pewnością w moc wykonania postanowienia, że wątpić nie mieliśmy prawa i nie wątpimy dotąd o jej niewzruszoności. Jedźmy dokąd chcemy: na Północ mroźną, na Południe gorące, do ziemi Papuasów czy w stepy kirgiskie, byleby nie do Prus... I wiemy dowodnie, że wiele rodzin odwiedzających rok rocznie miejscowości takie, jak Kołobrzeg, Soboty — inny całkiem drogowskaz, nakreśliły sobie.

Powoli jednak, powoli!...

Pięknem uczuciem jest zapał, lecz, że zawsze mu towarzyszy gorączka, nie zawadzi nieco chłodniejsza temperatura rozsądku.

„Nie jechać do Prus,—bo krzywda tam się dzieje braciom naszym“—wołamy...

Zgoda! Nie jedźmy do ziem *par excellence* pruskich czy niemieckich, ale—Soboty, do których tak uczęszczaliśmy gromadnie, czy nie są czasem naszą ziemią. Czy ludność tamtejsza nie jest kością z kości i krwią z krwi naszej? czy chcąc zubożyć niemców nie zubożymy stokroćwięcej polskich kaszubów? czy krom strat materyalnych, ta ludność szczerze słowiańska, walcząca dotąd zwycięzko z olbrzymim naporem germanizmu nie poniesie stokroć więcej strat pod względem narodowo-politycznym?—To są rzeczy tak ważne, tak brzemienne na przyszłość w wypadki, że piękny zapał powinien bez szemrania oddać się pod sąd zimnego rozsądku, który rozbudzi uniesienie— w przeciwnym tylko kierunku.

W swoim czasie „Kuryer Warszawski“ doniósł, iż lekarze postanowili nie wysyłać chorych do wód położonych w Prusach.

Ta wieść słuszną obawą przejęła szanownego redaktora „Gazety Grudziądzkiej“ i oto otrzymujemy od niego artykuł z prośbą o zużytkowanie go w łamach naszego pisma. Artykuł ma nadpis: *Czy jechać do wód morskich do Copot czy też nie jeździć?*

Na początku, autor artykułu pochwala postanowienie lekarzy warszawskich z słusznem zastrzeżeniem jednak, ażeby postanowienie to nie tyczyło się Sobot, które, niemczone wciąż—nie są zniemczone, należąc do państwa niemieckiego — nie są ziemią niemiecką. — Wymierzony cios w kark pruski, uderzyłby w pierś bratnią; raz nieudany rozśmieszył by potomka krzyżaków, a sinem piętnem siadłby na ciele kaszuba.

O Sobotach taką nam detaliczną wiadomość podaje wyż wspomniany artykuł.

„Okręg wyborczy Wejherowsko - puckokartuzki, w którym Soboty położone, należy do *najsilniejszych twierdz polskości*. Soboty są więc położone w rdzennie ziemi polskiej. To też cała okolica ku północy, ku zachodowi i południowi jest gęsto zamieszkała przez ludność polsko-kaszubską trudniącą się rolnictwem i połowem ryb. Kto kiedykolwiek był w Sobo-

tach i chodził na targi tamtejsze, ten łatwo mógł się przekonać, że właśnie przeważnie ta ludność kaszubsko-polska dostarcza Sobotom i ich gościom wszelkich płodów rolnych, jarzyn, masła, jaj, drobiu, owoców, jagód, grzybów, ryb i t. d. Cały plac targowy zwykle zapchany kaszubami, a oprócz tego prawie codzień po wszystkich ulicach, spotykać można zaradne kobiety kaszubskie, sprzedające po domach wyżej wspomniane prowizye.“

Z tego widzimy, że cały ruch sprzedażny artykułów spożywczych spoczywa w rękach polskiego ludu, który, gdy będzie pominięty przez nas, utraci swój zwykły zarobek, przechowywany szczelnie u siebie w komorze, idący na podtrzymanie jego bytu i na coraz twardsze usadowienie się na ziemi.

Autor artykułu piękne świadectwo daje o przywiązaniu do ziemi tego ludu, zaradności jego i gospodarstwie.

„Zaradny to lud—mówi—chciwy ziemi, a grosz polski przywieziony do Sobot, dostawszy się do jego kieszeni, dla społeczeństwa nie jest stracony. Od niejednego bowiem poczciwego kaszuba przywożącego płody swego zagonu do Sobot słyszało się, że „kupił parcelkę od Niemca“ z czego nad wyraz jest dumny.“

Te *parcelki, kupowane od Niemców* przez lud kaszubsko-polski, same przez się już wpłynąć powinny na zmianę naszego postanowienia, wywołanego chwilowem oburzeniem przeciwko hakatyzmowi niemieckiemu. Powtarzamy więc za autorem artykułu, że: „bojkot rozciągnięty i na Soboty, nie tylko dałby się we znaki Niemcom w Sobotach i Gdańsku mieszkającym, ale—„ciężko skrzywdziłby lud polski z okolicy pod względem ekonomicznym.“

Pomijając ten, bądź co bądź, tak ważny wzgląd materyalny, autor artykułu widzi stokroć większą jeszcze krzywdę, jaka by ztąd wynikła pod względem narodowo-politycznym.

Soboty są rok rocznie nawiedzane przez przeszło parę tysięcy Polaków. Zjeżdża się przeważnie inteligencya, która podczas sezonu letniego zmienia to miejsce „w prawdziwe ognisko polskości, które swemi promieniami ogrzewa całą okolicę. Goście Sobotcy stykają się bowiem na każdym kroku z ludem kaszubskim, urządzają na wszystkie strony wycieczki, aby się z nim zetknąć i poznać go, a to *„przyczynia się w nader wysokim stopniu do rozbudzenia i utwierdzenia w nim poczucia narodowego polskiego.*

Przed tem poczucie to nie było tak rozbudzone, drzemało serce i spała dusza. Lud kaszubski nie wiedział nic, albo prawie nic o braciach swoich, hen, za Wisłą mieszkających. Otoczony morzem niemieckiem, bity ze wszech stron przez potężne, zwycięzkie fale germanizmu, zaledwie mógł marny żywot i z ogromnym wysiłkiem woli własną narodowość zachować. Ale i stal pęka i skała się kruszy i ogień przygasa: stal wciąż zahartowywać potrzeba, spajać pęknięcia ścian, podsycać ogień. A chłop kaszubski tylko Niemców widział przed sobą, tylko mowę ich słyszał, widział tylko butę i wszystko łamiącą potęgę. Wiedział może, że gdzieś są Polacy, ale w umyśle jego nie dorośli do właściwej miary, rozumem i siłą nie równali panującym nad nim Giermanom. I fale morza niemieckiego pochłaniały powoli tę malutką kaszubsko-polską wysepkę i smutna rezygnacya śmierci, pierwej czy później, musiałaby stać się udziałem opuszczonego przez los i ludzi ludu.

Ale—według zdania autora artykułu, od kiedy Soboty zostały nawiedzane przez Polaków, od kiedy ci bracia starsi zbliżyli się do chat kaszubskich i poznać się dali—wstąpiła otucha w serce kaszuba, energia się wzmogła i odporność.

Nie byli już osamotnieni, związała ich znowu nić z ogromnym odłamem narodu, który myśl polską i serce polskie w głowie i piersi swej nosił.—To też, zawdzięczając temu poczuciu, że zewnątrz nich jest jakaś siła moralna, o którą oprzeć się można, agitacya wyborcza polska sięgnęła, aż do Sobot i pierwszy tryumf odniosła. 1,200 głosów padło na pana Kulerskiego, właściciela „Domu Polskiego“ t. j. „niemal dwa razy tyle ile w roku 1888 miał ks. dr. Wolszlegier.“

Cyfry to dość są wymowne.

Ale kto jest ów pan Kulerski?

Autor tak o nim pisze:

„Kulerski był kiedyś nauczycielem w Sobotach, gdy jednakże zaczął poprawnie pisywać skoszlawione nazwiska uczniów Polaków i gdy w ogóle pokazało się, że jest Polakiem, chciano go, jak to wówczas bywało, w roku 1888, czy 1889 wysłać w strony niemieckie. To było powodem, że p. K. złożył urząd nauczycielski i z majątkiem, wszystkiego razem, niespełna 3,000 wynoszącym mk. założył pensyonat polski w Copotach.“

Los panu Kulerskiemu dopisał:—przy zapobiegliwości i pracy, oraz skrzętności żony swojej, otrzymawszy zaliczkę kilku tysięcy rubli kupił dzisiejszą posiadłość swoją, która obecnie jest wartości 20,000 mk.—Ten „Dom Polski“ dostarczył p. K. środków na bardzo śmiały i ryzykowny krok założenia w najbardziej polakożerczem mieście i w najbardziej przez germanizacyę zagrożonej okolicy—„Gazety Grudziądzkiej“ której dziś jest wydawcą i redaktorem.

Mimo ogólnej niewiary w powodzenie wydawnictwa, po upływie dwóch lat „Gazeta“ potrafiła zdobyć sobie 3,600 prenumeratorów. Byt jej zatem jest już prawie zapewniony,—a że istnieje i dziś w Prusach zachodnich nader błogą rozwija działalność, „to zawdzięczamy jedynie Sobotskim gościom kąpielowym, Polakom, którzy, popierając „Dom Polski,“ w ten sposób dostarczyli p Kulerskiemu środków na jej wydawanie.“

Jeżeli wszystko tak jest, jak autor mówi, a nie mamy zasady nie wierzyć mu—to omijanie Sobot, byłoby nieprzebaczonym grzechem naszym, błędem politycznym, dziecinnem uniesieniem się, pozbawionem krytycznego rozumu, bezmyślnym ciosem na chybił trafił wymierzonym.

Krom „Domu Polskiego, znajdują się jeszcze dwa polskie pensyonaty p.p. Deichsel i Tuchołki. Zbojkotowalibyśmy swoich. co byłoby wodą nie na koła naszego młyna.—Zatem: — nie—*jeździć* do Sobot, ale—*oblegać* Soboty; precz rzucić bady włoskie, francuskie i niemieckie, lecz w nurtach naszego Baltyku szukać zdrowia, a ponieważ grosz miły jest panom niemcom, więc—będąc w Sobotach, żądać *bezwarunkowo* usługi polskiej, w hotelach, w sklepach, restauracyach i kawiarniach; zwiedzać wsie kaszubskie, mówić o jednej wielkiej rodzinie, która się nie kończy nad skrawkiem baltyckiego morza.

W rzeczywistości, postanowienie niejeżdżenia do Sobot, w ludziach, z którymi się spotykałem, a znających dobrze tę miejscowość, rozbudziło zdziwienie pewne. Od nich słyszałem bardzo wiele o „Domu Polskim“ p. Kulerskiego zamieszkałym *tylko* przez polaków; od nich też dowiedziałem się, że—pod naciskiem germanizacyi młodsze pokolenie zapomina o swojem pochodzeniu, w zetknięciu się jednak z nami, rozbudza się myśl, serce i dusza. Dość jednak rzucić sobie pytanie: co to za ziemia jest, o której mówimy?—a sama odpowiedź wpłynie na postanowienie nasze.

Zadługo może rozpisaliśmy się o Sobotach, ale musieliśmy uczynić zadość żądaniu redaktora „Gazety Grudziąckiej“ jako też i własnej potrzebie, by czasem nie ucierpieli ci, których i tak jest życie trudne, a z którymi nas wiąże długa, długa nić tradycyi...

Powróćmy teraz na grunt miejscowy.

Najważniejszym wypadkiem danej chwili jest uzyskane pozwolenie od władzy postawienia pomnika Adamowi Mickiewiczowi w Warszawie.—Nie łudzimy się, że tak, jak przy pierwszym urodzeniu się projektu, posypały się deklaracye pieniężne, tak obecnie posypią się pieniądze, z których powstać ma dzieło wspaniałe, wiekopomne, a drogie tak dla nas.

Pomnik?

Kto go zbuduje?

O uszy nasze odbijały się różne propozycye. Jedni chcieli oddać zagranicznym mistrzom wykonanie monumentu, popierając myśl swoją tem, że u nas brak jest rzeźbiarzy, a *coute que coute* dzieło musi być piękne; inni żądali rzeźbiarskiego konkursu, inni zaś, by oddać robotę z góry upatrzonym artystom: Welońskiemu lub Godebskiemu, ostatnią zaś razą p. Czesław Jankowski zachwalał bezogródek p. Marcinkowskiego, twórcę grobowca Ś. Wojciecha w katedrze gnieznieńskiej.

Prawdą jest, że artystów—rzeźbiarzy, którzyby mogli stworzyć arcydzieło, nie mamy. Lecz któż znów zaręczy, czy podniosła chwila stuletniej rocznicy urodzin jednego z największych wieszczów naszych, nie natchnie któregokolwiek z nich? Za mistrzem cudzoziemskiego pochodzenia nie głosowałbym. Nasz pieniądz niech u nas zostaje. Nie kładłbym także nacisku z góry, by rzecz dać do wykonania Welońskiemu, Godebskiemu lub Marcinkowskiemu.—Jeżeli już o wartości utworów nie ma roztrzygać konkurs, niech wolno będzie wszystkim rzeźbiarzom naszym przedstawiać swoje pomysły komitetowi, a wśród nich może się znaleść rzecz mistrzowska, która zwróci na siebie oczy znawców i bez formalnych konkursów rzecz sama się przez się roztrzygnie.

Niemały ambaras mieć będzie komitet w wyborze miejsca na pomnik. Poważnem, wielkiem miastem jest Warszawa, ale zabudowała się koszarowato, tak się zacieśniła ulicami, że ani jednego porządnego placu w obrębie swoim niema. Dawne miejskie dzielnice pochwalić się jeszcze mogą rynkami, bo jak Pana Boga miłego kocham, ci ludzie dawni dbali o wygodę, o trwałość siedzib swoich, o wygląd estetyczny i choć odrobiny przestrzeni mieć chcieli w zacieśnianych murach miasta. Nasze zaś dzisiejsze kamienice, walą się przed wykończeniem budowy, geszefciarstwo widne na każdym kroku; zewnątrz przeciążone są gipsaturami, które odlatują od pierwszego huku niebieskiego pioruna,—ale że wygląda to niby ozdobnie, łowi się na ten blichtr jakiś przybysz ze wsi, któremu sprzykrzyło się gospodarstwo, a chciałby już zażyć trochę miejskiego życia. W głowę po latach dziesięciu podrapie się,—ale aferzysta już drugą i trzecią kamienicę postawił i sprzedał. Nowe dzielnice miasta, wyciągają się równo pod sznur, krają się w poprzek, kłapcia ziemi na porządny plac nie zostawiając.

Gdzież więc nasz Mickiewicz stanie?

Prawdopodobnie na Krakowskiem-Przedmieściu, na skwerze znajdującym się naprzeciw Trębackiej ulicy, na miejscu fontanny zrobionej na to, byśmy wytrysków jej nie widzieli.—Najlepszy to zdaje się jest punkt, choć—jeżeli pomnik ma być kolosem—nieobfitujący w przestrzeń.

Ale, ale—zwiedzałem w tych dniach skromną pracownię jednego z młodych rzeźbiarzy naszych. Zaszedłem przypadkiem, na chwilę, a zabawiłem godzinę całą, tak długo zatrzymała mię tam jedna głowa, popiersie kobiece, które w odlewie bronzowym ujrzymy, za miesiąc może, w Towarzystwie Zachęty sztuk pięknych.

Głowa kobieca? czy piękna? spytacie.

Jak to wam odpowiedzieć?... Co zresztą rozumiecie przez piękno, czy linie klasyczne czy duszę, myśl, które z posągu patrzą?... Jeżeli szukacie pierwszego—odwróćcie oczy, jeżeli drugiego szukacie, to widziana przeze mnie głowa kobieca, przykuje was do siebie i utkwi niezatarcie w pamięci waszej.

Byłem w pracowni p. Konstantego Laszczki.—Spojrzałem na świeżo wykończone jego dzieło i oczu od niego oderwać nie mogłem.

Autor chciał w tej głowie stworzonej przez siebie uosobić duszę ludzką, ale tę duszę, która odrywa się od trosk codziennego życia, od tej szarej grudki ziemi, do której przykuci jesteśmy, a leci w dal, w przestrzeń, w nieskończoność. Jest na tym świecie, lecz wybiega za światy, w których chce rozwiązać zagadkę bytu, dojrzeć tajemnicę tajemnic.

Tak—tak! Jakiś bezmierny obszar już się rozciąga przed nią, a o ile obszar ten rozszerza się, o tyle oczy patrzącej kobiety, zapadają w głąb, wsuwają się wewnątrz, przestają być zwykłemi oczyma ludzi. To nie oczy już patrzą lecz tylko dwie głębie schowane pod łukami brwi ściągniętych. I czujesz, że postać ta oder-

wała się już całkiem od ziemi, że nic jej nie obchodzą: ty—otoczenie—ziemia cała i marne zabiegi ludzkie.. Ona, dojrzała tam — tam, w bezmiernym jakimś obszarze ducha, coś olbrzymiego, potężnego, boskiego... To też i ziemskie rysy tej twarzy, ściągnęły się i spoważniały,—i—płynący w kędziory faliste włos—zesztywniał. Symboliczna przepaska na czole zdaje się jest po to tylko, by to czoło od pęknięcia powstrzymać, to czoło brzemienne nie w myśli, lecz w myśl jedną, nieogarnioną jak wszechświat, tajemniczą jak Boga potęga.

Znam całą Europę, wszystkie stolice świata, muzea wszystkie, lecz nie pamiętam, bym głowę podobną widział, bym widział posąg—myślący.—Niech będą tam usterki linijne, błędy wykonania, grzechy jakieś, za które krytyka za leb się chwyci—mniejsza o to!... Nie na twarz patrzę, nie ona to mnie pociąga, przykuwa, zachwyca, lecz ta dusza wybiegająca z marnej gliny, ta myśl rzucona w przestrzeń, te głębie spojrzeń, które widzą to czego ja nie widzę, a widzą olbrzymią rzecz jakąś...

W milczeniu uścisnąłem dłoń pana Konstantego.

— Jak to pan nazwiesz? szepnąłem.

Tak—odezwałem się głosem stłumionym, by nie przerywać wizyi jakiejś tego posągu.—Zaśmiałem się potem, ale zadowolenie odmalowało się na twarzy artysty.

— Jak nazwę?—Nie wiem jeszcze! odpowiedział... A pan jakbyś nazwał? zapytał...

— „W nieskończoność“—czy:—„Do nieskończoności“... odpowiedziałem...

— Tak—masz pan słuszność—to dobre, to odpowiada myśli mojej...

Za miesiąc, za pięć tygodni zobaczycie—powiadam wam—rzecz piękną...

Piękną i dobrą też wiadomością przychodzi mi podzielić się z wami, szanowni czytelnicy.—Oto, instytucya *kolonij letnich*, zamienia się wkrótce w—„*Towarzystwo*.“ a przybierając tym sposobem formę stałą, będzie mogła w dwojnasób rozszerzyć tak pożyteczną działalność swoją. Zatwierdzona już ustawa nadaje instytucyi szersze przywileje, dozwala jej rozporządzać ewentualną własnością, umożliwia w ogóle rozwinięcie pracy, która już tyle błogich przyniosła owoców.

Przed laty kilkunastu położono pierwszą, niewielką zrazu, cegiełkę, ogół wytrwał w ofiarności, wytrwa dalej, aż dopóki nie znajdzie się filantrop jakiś, który gmach cały wielkiego dzieła miłosierdzia na niewzruszonych fundamentach postawi.

Są ludzie, którzy znaczne fundusze zapisują na kościoły,—a i to kościół. Miłosierdzie najwyższą jest cnotą ludzi i Chrystus powiedział: „Nie ofiary żądam od was, lecz miłosierdzia“... t. j. że ofiarą najmilszą Panu nad Pany, jest to, co biednym i maluczkim dacie.

Pójdźmy teraz na plac Ś. Aleksandra, dawniej placem „Trzech krzyżów“ zwany.

Zmienia on obecnie swój wygląd,—a to przez wycięcie drzew, wśród których dwa kamienne słupy o krzyżach bronzowych, pozłoconych i figura Ś. Jana Nepomucena stały.

Zakładają tam dwa nowe skwery—jeden od Ujazdowskiej alei, drugi od ulicy Mokotowskiej. Krzyże i posąg świętego Jana staną wśród nowego otoczenia drzew, plac się upiększy, zaświeci zielonością większą i będzie nie małą ozdobą miasta.

Pisząc o tem to o owem, sumienność kronikarza nakazywałaby zajrzeć i na pole mokotowskie, gdzie się ścigają folbluty, a przy okienkach, (bo już kilka okienek mamy) przy okienkach totalizatora ruch i gwar panują.

Ciężkie westchnienie pierś moją porusza, zakrywam oczy od sromu, ale—ale... nie byłem—słowo państwu daję—że nie byłem, ale to ani razu dotąd jeszcze nie byłem na polu Mokotowskiem.—Spotkałem raz tylko swojego znajomego i pytam:

— Byłeś na wyścigach?
— A oczywiście!
— Stawiałeś na totalizatora?
— Naturalnie!
— Wygrałeś?
— Gdzie tam!...
— I pójdziesz jeszcze?
— Oczywiście!
— I znów postawisz!
— Naturalnie!...
— I przegrasz!...
— Kto wie—kto wie... Będę ostrożniejszy...

Po kilku dniach spotykam znowu swojego znajomego.

— I cóż? pytam.
— Mam pech! odpowiedział.

I po co tu chodzić na wyścigi?

??

KOMITET BUDOWY POMNIKA MICKIEWICZA

Komitet budowy pomnika Mickiewicza ma zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że otrzymał zezwolenie Generał-Gubernatora J. O. Ks. Imeretyńskiego w odezwie z d. 19 kwietnia s. s. 1897 r. Nr. 418 na wzniesienie pomnika Mickiewicza na placu publicznym w Warszawie, oraz na zbieranie potrzebnego funduszu drogą składek.

Komitet, zostający pod prezydencją mianowanego z urzędu Ks. Michała Radziwiłła, zorganizował się, wybierając na wiceprezesa Henryka Sienkiewicza, na skarbnika Leopolda Kronenberga i na sekretarza Zygmunta Wasilewskiego. Biuro i Kasa Komitetu mieszczą się w domu L. Kronenberga (Mazowiecka, 22).

Bliższe szczegóły, dotyczące zbierania składek, wkrótce będą ogłoszone.

Warszawa, 6 maja 1897 r.

Wiceprezes *Henryk Sienkiewicz*.
Sekretarz *Z. Wasilewski*.

STARA PIEŚŃ.

Jarosława Vrchlickiego *).

Promyczek słońca chce chwycić dziecko,
Ten mknie po rączkach jego zdradziecko,
Swą sieć złocistą tkając po świecie,
Po starym murze snuje ją dalej,
To się przesuwa wśród kwiatów fali.
O dziecię, naiwne dziecię!

Libelę schwytać dziecina rada,
A ta na biały kielich upada,
Jak spinka droga błyszczy na kwiecie,
Dziecię do kwiatu zmierza swe kroki,
Pod nogą woda toni głębokiej.
O dziecię, naiwne dziecię!

Ja śpiewem składam śmierci w daninie,
Co przez pierś moję i głowę płynie,
Jako nić owa, co w babiem lecie.
Ach, u straconej śpiewam ja fali,
Życie jest pięknem tylko z oddali!
O dziecię, naiwne dziecię!

Przełożył z czeskiego
Bronisław Grabowski.

*) Ze zbiorku „Okna w burzy,“ z oddziału „Pieśni o szczęściu.“

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

Kiedy rozchodzono się na noc, Kamilla zarzuciła Janinie rękę na szyję, szepcząc z cicha żeby do niej natychmiast przyszła.

Janina była nieco zaniepokojoną, bo Kamilla wydała jej się jakaś nienaturalna... co się stać mogło? może o Romanie jaka wiadomość, ależ książę nie byłby jej uspakajał daremnie.

Szła już do Kamili gdy spotkała ją w drodze.

— Wolę pójść do ciebie—rzekła—będzie tam spokojniej i wygodniej. Mama jeszcze nie śpi.

Wbiegła pierwsza do pokoju Janiny i obracając się żywo, rzuciła jej się na szyję.

— Oświadczył mi się... — szepnęła głosem drżącym rozrzewnieniem i radością—Staś Walicki mi się oświadczył.

Janina serdecznie ją uścisnęła, spodziewała się tego, a teraz, widząc radość Kamilli, i ona także szczerze się cieszyła, nie sądziła żeby Kamilla była zdolną czuć i kochać głęboko, tem więcej się ucieszyła, widząc ją tak wzruszoną.

— Dziś się to stało? dziś?—pytała.

— Tak, przed chwilą, przy twojej muzyce... za którą wdzięczni jesteśmy tobie oboje... On mówi że mnie już dawno kochał, tylko zbliżyć się nie śmiał, bo podobno... mam reputacyę że lubię dawać koszyki...

— A ty, droga moja.., ty go kochasz?

Kamilla ukryła twarz zaczerwienioną na ramieniu przyjaciółki.

— Wstydzę się sama siebie... szepnęła—ale zdaje mi się, że dopiero teraz poznaję, co to jest miłość...

Janina wiedziała czemu ona to mówi... myślała o Kazimierzu! Ach o tego Janina była całkiem spokojna!

Rozmawiały długo, serdecznie jak siostry; Kamilla była rozmarzona, opowiadając przyjaciółce szczegóły różne, tyczące się Stanisława, wychwalała go i podziwiała... zakochaną była widocznie, ale w jak inny sposób niż Janina w Romanie! Kamilla rozpatrywała głośno rysy ukochanego, podziwiała ogładę jego i dowcip, rozrzewniała się, mówiąc o jego wytrwałej stałości, z którą czekał cierpliwie, aż jej znudzi się życie wielkoświatowe, otoczenie wielbicielami i konkurentami...

Janina zaś, kochała w Romanie jego dobroć i szlachetność, nie przykładając wagi do powierzchowności, kochała go za to, że posiadał wzniosłe serce, nie ograniczające się do zwracania uwagi na najbliższe tylko otoczenie, ale schylił się aż do niej, do biednej, nie mającej żadnego stanowiska w świecie i wybrał ją na panią swego serca i domu...

— Kamilko... — rzekła z nagłem postanowieniem. czując że nie powinna przed tą, która tak szczerą i bliską jej była, ukrywać swojej tajemnicy.—Kamilko... czy jesteś tak zaabsorbowana swojem własnem szczęściem że nie domyślasz się niczego więcej?... czy nie widzisz, nie uważasz... co ze mną się dzieje?

— Z tobą?—spytała trochę zdziwiona.—Z tobą, spokojna mimozo? Czyżby Władysław... ale nie! to niepodobna!

Janina pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

— Nie domyślasz się, ani przypuszczasz tego, co jest w istocie..—rzekła i nagła trwoga ją objęła... Jeżeli Kamilla, życzliwa dla niej nie przypuszcza nawet, żeby tu o Romana chodziło... cóż inni powiedzą?... Ach moja, droga mówiła dalej, głosem drżącym—jestem szczęśliwą bez granic

a zarazem bardzo nieszczęśliwą!.. Jestem w takiem położeniu... w jakiem nikt się nigdy pewnie nie znajdował...

Przejęta współczuciem Kamilla objęła ją w uścisku; grube łzy spływały z pod przymkniętych powiek Janiny.

— Roman... co Roman... prawda? — szeptała Kamilla, przechylając się nad nią z dobrocią, ale smutna bardzo.

Przypuszczała że Janina się w jej kuzynie zakochała bez wzajemności i żal jej było biednej.

— Tak... i on także powiedział mi... że mnie kocha.., że żyć bezemnie nie może...

— On! Roman! on ci to powiedział?...— zawołała Kamilla prostując się żywo, głosem w którym była ciekawość. zdziwienie i niedowierzanie.

Na Janinie dziwnie przykre, pognębiające prawie wrażenie uczynił wybuch Kamilli; poraz pierwszy przyszło jej na myśl, iż rzeczywiście miłość Romana dla niej musiała być czemś, wychodzącem po za granice przyjętych, utartych zwyczajów światowych...

— Roman? Roman? — mówiła dalej Kamilla, tym samym tonem—No! to ci winszuję! winszuję ci, bo takiego drugiego człowieka nie spotkałabyś w życiu!.. kocha cię? żyć bez ciebie nie może? tak, rozumiem go doskonale! — on inaczej kochać nie umie...

— Kamilko, na Boga! — zawołała doprowadzona do ostateczności biedna Janina — twój ton, twoje słowa... wszystko to świadczy, że stało się coś potwornego, czego nie rozumiem... a co się stać nie było powinno!..

— Nie było powinno? owszem, tak powinno się dziać zawsze, a nie dzieje się nigdy... Ty,— daruj mi że to powiem—ty jesteś biedna... a on! on magnat prawie! czy wiesz Janinko, co wart klucz Wasilecki? a czy wiesz jakie kapitały posiada wuj Bronimirski? nie, ty nic nie wiesz, biedactwo moje drogie... Otóż dowiedz się, że majątek ich milionowy... *milionowy*!.. i to moja Janinka dostanie... moja mała, biedna, skromna i dobra Janinka!

Nie było ani śladu goryczy, ironii lub zazdrości w słowach Kamilli; zarzuciła znów ręce na szyję młodej sieroty i tuliła ją do siebie, jak dziecię, śmiejąc się z radości, całując jej oczy, włosy, czoło.

— Moja Janinka, milionowa pani!—powtarzała z upodobaniem,—Wiesz teraz dla czego mama tak pragnęła wydać mię za Romana!

Niewzruszona, blada, milcząca, siedziała Janina jak automat pozwalając się pieścić, całować, słuchając ożywionej mowy Kamilli. Zdawało jej się biednej, że ciężar jakiś bezmierny wali się na nią, przygniata, a ona tchu już złapać nie może...

Nagle Kamilla ton zmieniła. W ruchliwym jej umyśle snuć się zaczęły myśli szybkim biegiem; wiadomość którą usłyszała przypomniała jej własną jej miłość...

— Kochasz go?...—szepnęła rozmarzona—kochasz Romana, jak ja mego Stasia?...

Słowo to obudziło Janinę ze stanu otrętwienia w jakiem zostawała.

— Czy ja go kocham?...—odrzekła, składając ręce i wznosząc w uniesieniu oczy do góry—Kocham go szalenie, nad życie... gotowa jestem życie poświęcić dla niego, za niego... i kto wie?...

Spuściła oczy, które łzą się zaćmiły; zakryła twarz rękami i zapłakała...

— Czemu?... Janinko, czemu płaczesz?...—pytała Kamilla troskliwie.

— Czemu?... za wielkie szczęście mnie spotkało... łzami okupić je trzeba. Ale ty tego nie rozumiesz... nie możesz rozumieć!

— Rozumiem doskonale, że ty możesz i będziesz szczęściem Romana! — rzekła Kamilla i prosząc ją raz jeszcze żeby się uspokoiła, odeszła do siebie, marzyć o własnem szczęściu...

Janina została samą. Późno już być musiało, ale pomimo, że nie spała wcale poprzedniej nocy, nie pomyślała nawet o spoczynku. Siedziała ciągle na tem samem miejscu, na którem ją pozostawiła Kamilla, a w uszach jej ciągle brzmiały jej słowa: on milionowy, milionowy... ty będziesz milionowa...

Co miała czynić? jak postąpić?...

Wyrzec się jego? starać się zapomnieć? ależ to nad jej siły! ona jego kocha... kocha jak jedyne dobro, skarb swój najdroższy!...

A on? czy zgodzi się żeby go opuściła, on, na którego twarzy widziała taki wyraz szczęścia, gdy jej mówił o swojej miłości?... czemu się tak stało, Boże! czemu? I na cóż się zdała taka potężna miłość ich obojga, kiedy jej nikt nie uwierzy? Wszyscy jej rzucą w oczy szyderskie oskarżenie, że idzie za niego dla majątku... dla majątku! czy ona potrzebowała majątku? czy nawet wiedziała jak się obchodzić z pieniędzmi?

Co powie pani Żarnowiecka?...

Dreszcz zimny przeszedł Janinę...—Wstała. Nogi uginały się pod nią, była wyczerpaną i złamaną jak po chorobie. Przesunęła rękę po czole, chcąc spędzić natrętne myśli, oprzytomnić. Poddawać się nie wolno!—czekały ją jeszcze nie jedne udręczenia... panna Olimpia dobrze radziła, żeby skupić swoje siły! A on, a Roman, gdy zobaczy ją bladą, chorą, bezsilną?... przerazi się, zmartwi... jemu tego oszczędzić trzeba.

Z silnem postanowieniem zapanowania nad sobą, pokrzepiona modlitwą, spać się położyła.

* *
*

— Mam dla państwa dwie wielkie nowiny!— wygłosiła pani Żarnowiecka, wchodząc nazajutrz rano do jadalnego pokoju na śniadanie, gdzie zastała Natalię i księcia. Janina przy bocznym stole nalewała herbatę w filiżanki.

— Jedną już wiem,—rzekł książę—Roman mi mówił, że ojciec jego w tych dniach do Wasilec przyjeżdża... wszak to pani miała na myśli?

Łyżeczka upadła z hałasem z drżących rąk Janiny i pani Żarnowiecka obejrzała się niecierpliwie.

— *Un peu plus d'adresse, ma chère!*—rzekła.

— Tak,—dodała zwracając się do księcia—mój kuzyn przyjeżdża do Wasilec... Wielka to dla mnie przyjemność, bo dawno go już nie widziałam. Ale niechże książę wpłynie na Romana, żeby się nie zrywał jechać zaraz... może mu zaszkodzić.

— Wątpię czy go zatrzymamy, bo i on także dawno ojca nie widział... zresztą, pojadę z nim...

— Jakże smutno nam będzie...—wtrąciła Natalia z westchnieniem.

Książę skłonił się z galanteryą i jednocześnie, odbierając z rąk Janiny filiżankę herbaty, którą mu przyniosła.

— Serdeczne dzięki!—rzekł.

— Jakaż druga nowina? — spytała Natalia, uprzejmie zwracając się do hrabiny.

Pani Żarnowiecka przybrała uroczysty wyraz twarzy.

— Moja Kamilka rozrządziła swoją rękę...— rzekła trochę sztywnie.—Mam obowiązek oznajmić miłym moim gościom, że została narzeczoną pana Walickiego... Trochę to może za szybko się stało... trochę lekkomyślnie, *mais enfin!*...

Obecni złożyli matce życzenia.

— Dla czego hrabina mówi, że za szybko?— wtrącił książę.—Walicki bardzo porządny chłopiec i dość majątkowo dobrze stoi...

— Majątek!...—pomyślała z goryczą Janina, zabierając swoje miejsce przy stole.—Nawet taki książę, o majątku wspomina...

Pani Żarnowiecka zaczęła tłómaczyć księciu, że nie zna dość dobrze Walickiego, ani jego rodziny i stosunków, było by to bardzo racyonalne ze strony troskliwej matki, ale hrabina nie wypowiedziała całej swojej myśli... Nie kryła jej jednak przed Kamillą, gdy ona drżąca, z rozrzewnieniem i nieśmiałością, przyszła dziś rano do łóżka matki, wyznać jej, co ją spotkało. Pani Żarnowiecka uwiadomioną już była przez Romana o blizkim przyjeździe pana Bronimirskiego do Wasilec i nadzieje jej, co do połączenia Kamilli z Romanem, na nowo odżyły.

— Mogłaś się trochę z tem powstrzymać!— rzekła do córki.—Mogłaś się nie wiązać słowem, przed przyjazdem wuja... Kto wie co by nastąpiło...—Ręczę, że na to tylko przyjeżdża tutaj, żeby skończyć sprawę waszego związku z Romanem...

Kamilla na prawdę się oburzyła.

— A!—zawołała.—Więc mama sądzi, że Roman, który prawie cały rok u nas siedzi, potrzebował by obecności i presyi ojca, aby mi się oświadczyć, gdybym mu się była podobała? Od dawna już wiem—i mama także, że on wcale żenić się ze mną nie myślał. Dość długo miałam zawróconą głowę tem małżeństwem... Zresztą, ja pana Stanisława kocham... Romana zaś uważam za brata.

Hrabina nic już nie odpowiedziała. Stłumiła w sobie niezadowolenie, pewna, że gdyby Kamilla była dobrze wzięła się do rzeczy, wszystko by inny obrót wzięło... a teraz—przepadło!

— Tak, tak!—mówiła do księcia z westchnieniem—trafiło mię to niespodzianie... Nie mam wprawdzie nic do zarzucenia panu Walickiemu, ale wolałabym, żeby Kamilka nie tak się pośpieszyła...

Naturalnie! hrabina Żarnowiecka nigdy nie była zadowoloną z tego, co się stało, a przedewszystkiem, co się stało, nieprzygotowane i nakazane przez nią...

Hałas jakiś rozległ się pod oknami.

To Kamilla w towarzystwie Stanisława i Alfreda Łuckiego, jako opiekuna narzeczonych, wracała z konnej wycieczki.

Weszła do pokoju zarumieniona jazdą, tryskająca wesołością i ożywieniem; wesoła nuta, którą zawsze i wszędzie we wszystkiem i w każdej okoliczności znalazła, dziś wybitniej się objawiała niż kiedykolwiek.

— Jaka ona szczęśliwa!—szepnął książę hrabinie, podczas gdy Kamilla ze śmiechem przyjmowała życzenia Natalii.

Pani Żarnowiecka nic nie odpowiedziała, ale Janina schwyciła wyraz jej twarzy pełen rozrzewnienia, który się tam na chwilę, bardzo krótką chwilę pojawił...

— A Roman? — zawołała Kamilla obracając się żywo w około, — Niema go tutaj! mój kuzynek nie spieszy z życzeniami?... czy wyjdzie dziś do nas?

— Zatrzymałem go gwałtem w pokoju,—odparł książę—mówiąc, że pani udała się na konną przejażdżkę. Chciał panią widzieć... Lada chwila się zjawi.

— Janinko złota! — zawołała Kamilla, załatwiwszy poprzednią sprawę i przeskakując z żywością jej właściwą do drugiej.—Pomimo, że jestem bardzo... zajęta... — spojrzała w porozumieniu szybkiem spojrzeniem na Stanisława — głód szalony mi dokucza! Jeżeli nie chcesz bym umarła, daj mi coś zjeść... ale dobrego.

— Kamilko...—strofowała hrabina, — mogłabyś pierwej zapytać pana Stanisława czy nie głodny... ty zawsze najprzód myślisz o sobie...

— Och! pan Stanisław nie da sobie krzywdy zrobić! zresztą, nasza kochana gosposia i o nim pomyśli. Prawda, Janinko?—dodała do Janiny, która przyszła ją pytać co właściwie, „dobrego" ma jej kazać podać? Kawy? herbaty? szynki?

— Herbaty... i wiesz co? ten torcik czekoladowy... wiesz? musi być jeszcze kawałek? doskonały!...

Zaledwie Kamilla włożyła w usta pierwszy kawałeczek pożądanego torcika, drzwi się otworzyły i wszedł Roman. Porwała się natychmiast z głośnym okrzykiem i wyciągając ręce, pobiegła ku niemu.

— Na pana miejscu byłabym zazdrosną... — szepnęła Natalia do Stanisława, który się tylko uśmiechnął, pewny swego.

Kamilla pociągnęła Romana do okna, usuwając się, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy.

— Nie wiem kto komu pierwszy ma składać życzenia... — rzekła z filuterną minką, nie dając mu dojść do słowa.

Roman ręce kuzynki przycisnął do ust wzruszony bardzo; był okropnie blady.

— Powiedziała ci już?...—szepnął. — I cóż ty na to mówisz?

— Żeś dobry, szlachetny i poczciwy... — odparła ze szczerością.—Patrz, jaka ona zmięszana biedna... muszę wam pomagać, bo się zdradzicie

oboje. Zapewne nie chcesz jeszcze, by się kto dowiedział?

— Najprzód mój ojciec... Dziś jadę do Wasilec... zostawiam ją pod twoją opieką.

— Kamilko! — zawołała hrabina, — może już dość tych czułości? herbata twoja stygnie, a może i Roman głodny?

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Przedstawienie benefisowe p. Edwarda Wolskiego.

Esterka, fragment z dramatu na tle historycznem w 2-ch odsłonach Stanisława Kozłowskiego. — **Oj, młody, młody,** hr. Jana Aleksandra Fredry (wznowienie).

— Dwadzieścia pięć lat was bawiłem, teraz nadszedł czas, ażebyście się mi wywdzięczyli za niejedną chwilę wesołą, za śmiech pusty, który daje zapomnienie o troskach życia.

Tak powiedział sobie p. Wolski i d. 8-go Maja r. b. ogłosiły afisze przedstawienie popołudniowe w Teatrze Wielkim na benefis p. Edwarda.

Jakkolwiek ceny biletów były podwyższone, do kassy zamówień odbywała się istna processya. Za malutkiem okienkiem pojawiał się kiedy niekiedy sam benefisant a uśmiech mu igrał na ustach, zadowolenie malowało się na twarzy, widząc hojne naddatki, jakie się sypały w dzień dla niego tak uroczysty. Za pierwszy rząd krzeseł płacono po 25 rs. a cóż mówić o lożach, które miał zająć świat nieliczący się z groszem zbyt skrupulatnie. To też gdy wybiła godzina jubileuszowego przedstawienia—teatr zaroił się od tłumu; nie było jednego kątka, jednej, że tak się wyrazimy, szczeliny niazapełnionej.

Grzmot oklasków powitał zjawiającego się jubilata—barwista mgła ze wszech stron lecących kwiatów zaćmiła na chwilę scenę. Była to powódź istna, niosąca ze sobą nie—zniszczenie, lecz—dary przyjaciół i wielbicieli jego talentu, jako wypłatę słuszną za pracę ćwierćwiekową, na deskach sceny polskiej.

Wiemy, że róże mają kolce, lecz róże, które zbierał Wolski, oprócz woni, świeciły prawdziwem złotem. Oto w jednej wiązance ukrył się pierścień brylantowy, tam błyszczał pugilares piękny, srebrem ozdobiony, zawierający w swem wnętrzu ponętnem dwa tysiące rubli, ofiarowany przez członków klubu myśliwskiego; dalej teczka srebrna z napisem: „Edwardowi Wolskiemu w dniu jego jubileuszu, wielbiciele,“ pokryta facsimiliami ofiarodawców a zawierająca premjowe pożyczki na sumę tysiąca rubli. Tam z dwóch koszów kwiatów woniejących wyjrzały butelki „Excelsioru“ tu wieniec zdobny w szarfy białe i pąsowe z napisami: „Towarzyszowi lat dziecinnych — Jan Reszke—i—przyjacielowi—Edward Reszke.“ Dalej szły wieńce: „Od Dyrekcyi Teatrów rządowych w Warszawie.“ „Od kolegów z Teatru Małego.“ „Od kolegów i koleżanek z opery“—„Dyrekcya Teatru Lwowskiego“ i prześliczny zegarek od artystów Teatru Rozmaitości z napisem: „Edwardowi Wolskiemu—koledzy i koleżanki, XXV“ a listy i telegramy otrzymane ze stron różnych świadczyły dobrze o przyjaźni wielu, jaką zaskarbić umiał sobie jubilat.

To też nie dziwo, że takie przyjęcie serdeczne, ten wyraz wdzięczności ogółu—rozrzewniły pana Edwarda. Jakkolwiek nieraz, nie z myślą o tej wdzięczności, bez liczenia na jakąkolwiek bądź zapłatę, lecz dla idei samej, poświęcamy trud i życie i jedyną nagrodą jest dla nas przekonanie moralne o sumiennem wypełnieniu przyjętych raz na siebie obowiązków—mimo to, ta oznaka uznania prac i trudów, ta pamięć społeczeństwa, jest najwyższą rozkoszą—i—szczęśliwy to dzień, w którym w oczach naszych łzy staną wdzięczności za tę pamięć, za to niezapomnienie...

Pan Wolski miał dzień taki.

Dziwią się niektórzy, że śpiewacy, muzycy i aktorzy, są częstokroć tak hojnie przez świat opłacani, tak szybko czasem zdobywają pieniądze i oklaski podczas, gdy pracownicy na innych polach, choćby twórcy takich „Panów Tadeuszów“ częstokroć lata całe muszą czekać,—nie na pieniądze, bo one nigdy do nich nie idą—lecz na rozgłos, na powodzenie, na sławę. A przecie trud większy, zasługa większa, gorętszy pot na czoło wypływa, serce zalewa się krwią, duch nieraz stacza walkę olbrzymią z ludźmi, którzy go nierozumieją, z warunkami, które wstrzymują lot jego, z prądami czasu stającego w poprzek myśli nowej. Wszystko to jest prawdą i—wszystko jest sprawiedliwością.

Sława śpiewaków, muzyków i aktorów nie zna nieśmiertelności, nie przekracza poza grób. Trwa w czasie i w czasie wynagrodzoną być powinna. Nie nazwę więc bezmyślnością tłumu—jak chcą niektórzy—rzucanie kwiatów pod stopy mistrzom dźwięków, i owych oklasków, przy każdem pojawieniu się zasłużonego a ulubionego aktora. Nie bezmyślność tu jest czynnikiem, lecz bezwiedny instynkt mass, kierowanych ręką rządzącej w tajemniczy sposób sprawiedliwości.

W tradycyi już zostały boskie skrzypce Paganiniego, niezrównany śpiew Catalani, lecz jak on grał, jak ona śpiewała—któż z nas dokładnie powiedzieć dziś zdoła? A może się dziś gusta nasze zmieniły i nie zachwycilibyśmy się już tak grą tą i tym śpiewem, jak nasi praojcowie?... Tu ostrze krytyki naszej jest stępione—usunęli się oni i po nich milczenie i cisza zaległa.

Jakże inaczej jest z Szekspirem, którego geniusz od tylu wieków przemawia do nas i przemawiać niejednemu jeszcze wiekowi będzie. A i nasz Juljusz nie był zbyt znany za życia; na jego blade czoło nie kładziono wieńców wawrzynowych, pod jego stopy nie słały się róże, deszcz złoty nie padał na niego, nie uznawał go nawet wówczas, największy z największych—nieśmiertelny Adam. Tacy, czując moc swoją i swoją wyższość, patrzą spokojnie w przyszłość. Chłód otoczenia ich nie gnębi, pociski ich nie rażą: „Moje będzie za grobem zwycięztwo!“ mówią z wiarą w oczywistość tej prawdy, a w chwilach wielkiego smutku, szepcą:

„Zostanie po mnie ta siła fatalna,
„Która mnie, śmiertelnemu tylko czoło zdobi,
„Ale was póty będzie gniotła niewidzialna,
„Aż was, zjadaczy chleba, w aniołów przerobi.“

I jakkolwiek miłym jest hołd świata za życia—ta jednak pewność pośmiertna i sława, osładza im niejedną godzinę gorzką.

Aktor, śpiewak i muzyk wykonawca tej pociechy mieć nie mogą. Gdyby więc za życia zasług ich nie uznano, potomność nic o nich powiedziećby nie umiała. Słuszna więc jest nagroda, która ich spotyka, zrozumiany oklask i łzy rozrzewnienia przyjmującego te oznaki uznania.

Pan Wolski wyszedł ze szkoły Rychtera i Jasińskiego, pierwsze występy jego były w Poznaniu. Od r. 1872 widziano już go na deskach teatru warszawskiego. Grał po raz pierwszy u nas rolę Rizia w Maryi Stuart Słowackiego, a ze szczególnem jej wykonaniem, lekkością ruchów i ujmującą postawą—podbił od razu serce publiczności.

Nie od razu jednak przerzucił się do ról komicznych, w których niezrównanym dzisiaj jest mistrzem. Wraz ze ś. p. Tatarkiewiczem grał salonowych kochanków. P. Szymanowski występował wówczas jako komik. Po usunięciu się dopiero tego ostatniego, Wolski miejsce jego zajął, inaczej mówiąc, odnalazł właściwą sobie drogę.

Mimo to i w dramacie poważnym pan Wolski nie byle jakim jest artystą. Kto go widział tylko w rolach komicznych, ze zdumieniem patrzał na niego, gdy występował, np. jako hrabia w Lenie Jasieńczyka. Tę twarz, zdaje się stworzoną do żartu i śmiechu, okrywała niepojęta powaga; ruchy inne, głos inny, szalone przerzucenie się do roli, zdawałoby się—tak mu niewłaściwej. Tu już nie talent widzimy, lecz rozum, głębokie wejście w duszę przedstawianego bohatera, zrozumienie jej doskonałe, co już jest wynikiem, prócz talentu i rozumu, zastanowienia się i pracy. W dwóch tak przeciwnych rolach potrzeba widzieć Wolskiego, ażeby poznać skończonego mistrza. Zasłużył więc na oklaski, na kwiaty, na dary, na pamięć i na to szczere uznanie, które powinno mu być bodźcem do pracy dalszej i nowych laurów.

Na benefis swój p. Wolski wziął dwa fragmenty z dramatu p. Stanisława Kozłowskiego p. t. *Esterka* i *Oj, młody, młody*, komedyę hr. Jana Aleksandra Fredry.

O tej ostatniej, jako rzeczy już dawniej znajomej, nie będziem mówili—powiemy tylko, że królował tu p. Edward, i że mimo wzruszenia, z powodu doznanych owacyj, grał przewybornie, z niezrównanem zacięciem młodego łobuza, raz wraz każąc dłoniom patrzących widzów do oklasków się składać. Słów tedy parę poświęcimy „Esterce“ o której jako *scenicznej* całości, zdania ostatecznego powiedzieć nie możemy, albowiem widzieliśmy tylko, aczkolwiek znaczny ułamek, lecz zawsze ułamek.

„Esterka“ grana była przed laty w Krakowie, „Turniej“ p. Kozłowskiego na naszej widzieliśmy scenie. O pierwszej wiemy z opowiadań naocznych świadków, że dużo ma efektów scenicznych, potrzebnego ruchu, a zatem dobrym jest nabytkiem dla sceny.—To też, jak w „Turnieju,“ w „Esterce,“ prawdopodobnie i w „Wójcie Albercie“ ten efekt i ruch, jest główną siłą przyciągającą.

Pod względem artystycznym i literackim te wszystkie trzy utwory postawiłbym prawie na równi. Prawdziwej siły dramatycznej w nich niema, która polega na ciągłym postępie akcyi, na potężnem starciu się namiętności, na tytanicznej walce bohatera z ludźmi hołdującymi innym niż on, zasadom, lub z samym z sobą, gdy dla zasad pewnych, siebie, swoje *ja* poświęcić trzeba.

Król Kazimierz, jakkolwiek pod koniec dramatu podpisuje statut nadający pewne przywileje żydom, niezrozumiałym jest dla nas, gdy bez *żadnych* dowodów winy, że żydzi struli Spytka, pozwala brać ich na tortury; niewyraźna jest Estera, pozwalająca się kochać w sobie królewskiemu dworzaninowi, by zyskać wpływ jego na króla. Gdy zaś roznamiętniony dworzanin nagrody żąda—odtrąca go; gdy zaś dowiaduje się, że on to właśnie struł wojewodę i na nią część winy swej zwala—obrania odtrąconego trzykrotnie fałszywą przysięgą przed królem i przez to zatajenie właśnie nie swojej zbrodni, nie dość, że przez królewskiego kochanka, przez ubóstwionego Kazimierza odepchniętą zostaje, lecz staje się sprawczynią mąk straszliwych swoich współwyznawców, dla których właśnie nie wahała się powabami swych wdzięków pociągać ku sobie faworyta królewskiego. Nie—konsekwencya wypadków, lecz—wola autora tu rej wodzi, i dla tego dużo jest w dramacie scen zawiłych, psychologicznie błędnych, przechodzących bez wielkiego wrażenia. Kochan zwalający przed królem winę na Esterkę: „Ona kusicielka, jam był zabójca“—jest podły. W dramacie jednak nie wychodzi jako czarny charakter—nie zdycedowany jest, chwiejny, połowiczny. Wierszem autor włada dość dobrze, lecz niema w nim wstrząsającej siły; rymów wytwornych nie szukać. W granym fragmencie, występują tylko Wierzynek, żydzi, Spytek i Kochan oraz kilka podrzędnych postaci. A szkoda! Gdyż całość możeby się lepiej wydała. A jako utwór sceniczny—niezaprzeczenie jest wart widzenia.

K. Gliński.

Z RZYMU.

(KORRESPONDENCYA „BLUSZCZU“).

W Kwietniu.

Aczkolwiek uroczystości wielkotygodniowe w Rzymie nie przypominają świetności owych czasów, kiedy jeszcze papież osobiście prowadził processyę z kościoła św. Piotra, udzielając błogosławieństwa pochylonym kornie tłumom, mimo to jednak gromadzi tydzień przedświąteczny liczną rzeszę pobożnych, na których pomieszczenie nie wystarczają liczne hotele i gospody miejscowe. Dziwnie oryginalny widok przedstawia w czasie tym święte miasto; przez cały dzień snują się po ulicach tłumy ludu, w niemej pogrążone modlitwie; wieczorem większa jeszcze cisza zalega ulice miasta, które robi wrażenie, jakby miasta umarłych, z całemi gromadami śpiących pod gołem niebem pątników.

Przykrego jednak rozczarowania doznać musi inteligentniejsza część publiczności, która przybyła do wiecznego miasta, ażeby się napawać pięknością poważnej muzyki kościelnej. Dziwnie bowiem świecki, a nawet operowy charakter nosi na sobie najnowsza muzyka kościelna włoska. Poważny styl Palestriny i Pergolese'a zniknął bez śladu, ustępując miejsca kompozycyom niezbyt licującym z powagą miejsca i chwili. A i wykonanie ich dalekie jest od doskonałości; aczkolwiek pojedyńcze głosy i dziś jeszcze wyróżniają się nietylko czarującym dźwiękiem, lecz i mistrzowską interpretacyą, to jednak całość nie wywiera wrażenia, jakiego słusznie oczekiwaliśmy. Na program składają się przeważnie „Skargi Jeremiego,“ „Tenebrae,“ „Miserere,“ „Desolata“ i „Chwile konania.“

Wielki czwartek obchodzi Rzym daleko uroczyściej, aniżeli dzień następny.

Tłumy pobożnych wędrują z jednego kościoła do drugiego, ażeby się przypatrzeć wspaniale w kwiaty przybranym „sepolcri.“ Nigdzie jednak napływ pobożnych nie jest tak wielki, jak w dniu tym popołudniu w bazylice św. Piotra. Dziwnie wzruszający zbieg okoliczności miał miejsce w r. b. W chwili wykonywania w wielki czwartek w kościele św. Piotra „Miserere“ kompozycyi Salvatora Melluzzi'ego, autor leżał na łożu śmiertelnem na via delle Muratte. Dnia następnego skonał maëstro, który od r. 1854 był dyrygentem kapeli św. Piotra i całe swe życie służył podniosłym ideałom muzycznym, nie troszcząc się o rozgłos świecki, który mieć mógł dzięki wybitnym swoim zdolnościom. Zmarł w sędziwym wieku 84 lat.

Gdy o godz. 7-ej wieczorem umilkną w kościele św. Piotra śpiewy, przeciąga przez olbrzymie nawy procesya wszystkich duchownych miejscowych z kardynałem Rampollą na czele. Uroczystość cała kończy się o godz 8-ej wieczorem; przeszło 50 tysięcy osób opuszcza największą na świecie świątynię, udając się omnibusami, powozami, a nawet zwykłemi wózkami z prawego brzegu Tybru na lewy.

W wielki piątek odbywa się ta sama jutrznia i wykonywane bywają te same śpiewy, a nadto „Stabat mater.“ Autorem łacińskiego tekstu tego słynnego hymnu wielkotygodniowego był głęboko myślący mistyk Fra Jacopone z Todi, zmarły przy końcu XIII w.; w ciągu wieków tysiące muzyków czerpało w nim natchnienie do swoich kompozycyi, żadna z nich jednak nie jest w stanie dorównać porywającej potędze kompozycyi Rossini'ego, która wykonana w r. b. w świątyni Maria del Popolo wywarła równie jak w latach poprzednich olbrzymie wrażenie.

W sobotę odbywa się w kościele św. Piotra o godz. 8-j rano święcenie ognia przez biskupów i innych dostojników kościoła; dziesiątki tysięcy żądnych widoku uroczystości tłumów, oczekują od brzasku chwili otwarcia podwojów świątyni. O godz. 10-ej po dokonanem święceniu wody odbywa się doroczna ceremonia udzielenia chrztu świętego żydom przechodzącym na łono wiary katolickiej.

W r. b. do uroczystości tej stanęło 6 żydów. Ceremonia kończy się z uderzeniem godz. 12-ej i w tej chwili przebija powietrze odgłos dzwonów kościelnych, które zamilkły od czwartku.

Pierwszy dzień świąteczny przywraca miastu zwyczajną cechę; hotele i gospody opróżniają się, a właściciele ich powtarzają z westchnieniem: „Ach! gdyby tak co tydzień mogła być Wielkanoc.“

Najwybitniejszym wypadkiem w życiu artystycznem Rzymu i to wypadkiem pierwszorzędnej wagi, jest otwarcie t. zw. apartamentów Borgia w pałacu Watykańskim, który w ten sposób zwiększył zbiory swoje o sześć wspaniałych komnat, dostępnych dziś dla turystów.

Komnaty te zamieszkałe niegdyś przez papieża Aleksandra VI i Cezara Borgię, stały zamknięte blizko 400 lat, podanie bowiem mówi, że papież Juliusz II w r. 1503 zaraz po objęciu stolicy apostolskiej, uniesiony gniewem z powodu wspomnień, jakie rozpusta Cezara Borgii wniosła do tych pokojów, kazał je zamknąć i przekazać zapomnieniu.

Sale te mieszczą mnóstwo drogocennych zabytków sztuki i dziś już ściągają mnóstwo ciekawych turystów, którzy na pierwszą wiadomość o ich otwarciu tłumnie zjechali się z odległych miejscowości.

Pierwsza sala nosi nazwę „dei Pontifici,“ mieściła bowiem w sobie portrety dziesięciu papieży; sala ta przyozdobiona jest wspaniałemi gobelinami, zasłaniającemi zniszczone w r. 1527 przez żołnierzy ks. Karola Burbońskiego doszczętnie freski. Dwie oddzielne szafki mieszczą zbroje papieża Juliusza II i tegoż ks. Burbońskiego, który z takim wandalizmem znęcał się nad przechowanemi w pałacu watykańskim zabytkami najcelniejszych malarzy włoskich. W środku sali umieszczone jest popiersie Leona XIII z odpowiednim napisem, objaśniającym, iż za jego to rządów apartamenta te odnowione i otwarte zostały.

Druga sala mniejsza, ozdobiona również wzorzystemi kobiercami, była prawdopodobnie pokojem, przeznaczonym na mieszkanie. Sklepienie sali tej ozdobione jest wspaniałemi freskami Pinturicchia z Perugii i umbryjskiego malarza Perugina, przedstawiającemi sceny z życia Świętej Rodziny. Najlepiej jednak przechowała się sala trzecia; znajdujące się w niej freski Perugina zachowały dawną swą świeżość, a artystyczne wrażenie całości podnoszą jeszcze barwy i złocenia sklepień, łuków i dekoracyjne szczegóły sufitu, ozdobionego herbami rodziny Borgiów.

Najskromniejsze są dwie ostatnie sale, piąta i szósta, a nadto oświetlone słabo światłem spływającem z jednego tylko okna, umieszczonego w framudze.

W liczbie ciekawych turystów, których ściągnęła tu chęć oglądania wspaniałych zabytków, znajdował się także Juljan Klaczko; estetyk nasz przybył tu celem dokonania studyów nad apartamentami pałacu Borgiów, którym poświęcić zamierza specyalną rozprawę.

Na dzień 3 maja zapowiedziany mamy w kościele S. Croce di Gerusalemme, gdzie przechowane są ważne relikwie Chrystusa Pana, solenny obchód zamknięcia ośmiowiekowej rocznicy pierwszej wyprawy krzyżowej.

Nadto w dn. 27 maja odbędzie się w bazylice św. Piotra uroczysta kanonizacya błogosławionego Fauriera, rodem francuza. Ceremonia ta przybierze bardzo wielkie rozmiary, będzie to bowiem pierwsza podobna uroczystość w Watykanie od r. 1870, t. j. od czasu zdobycia Rzymu przez wojska włoskie. W dniu tym Papież po raz pierwszy od r. 1870 odprawi w kościele św. Piotra mszę śpiewaną i to z całym przepychem, używanym przy podobnych uroczystościach. Wieczorem bazylika będzie wspaniale iluminowaną, a trzy wielkie towarzystwa śpiewackie wykonają pienia kościelne. Na ozdobienie kopuły św. Piotra zakupiono 10 tysięcy metrów czerwonego sukna, co dać może dokładne pojęcie o przepychu, z jakim odbędzie się ta uroczystość. Wstęp do kościoła dozwolony będzie za biletami, których rozdano już 40 tysięcy.

W dniu 13 kwietnia słynne na cały świat akwaryum neapolitańskie, obchodziło 25-tą rocznicę swego założenia.

W jednym z najpiękniejszych punktów Neapolu, nad morzem, wznosi się wspaniały budynek, w którym na dole w basenach szklanych mieszczą się najrozmaitsze okazy ryb i innych zwierząt morskich od najpospolitszych do najrzadszych, a nadto wielka ilość wodorostów, stanowiących przejście ze świata roślinnego do świata zwierzęcego. Założycielem i właścicielem akwaryum jest Antoni Dorn, były profesor uniwersytetu w Jenie, ożeniony z Polką, z domu Baranowską z gubernii mohylowskiej. W r. 1872 otrzymał on od rady miejskiej w Neapolu bezpłatnie kawał gruntu w parku miejskim i przy pomocy subwencyi udzielanej rocznie przez państwo niemieckie i inne państwa doprowadził zakład swój w ciągu ćwierć wieku do takiej wysokości, że dziś słusznie używa sławy pierwszorzędnej w tym rodzaju instytucyi. Akwaryum utrzymuje do rozporządzenia obcych zoologów laboratoryum, w których dokonywać oni mogą badań. Król włoski jest wielkim miłośnikiem nauk przyrodniczych, to też nie zaniedbuje on najmniejszej sposobności, ażeby zapewnić akwaryum neapolitańskiemu coraz większy rozwój. Oficerowie marynarki włoskiej przed każdorazowem udaniem się w dalszą podróż morską, przepędzają tu pewien czas dla obznajomienia się z fauną i florą morską i po powrocie swoim wzbogacają akwaryum bardzo cennemi okazami.

Włoskie towarzystwo geograficzne nosiło się z zamiarem zaproszenia Nansena do wygłoszenia szeregu odczytów z podbiegunowej swojej wycieczki, podobnie jak to miało miejsce w Paryżu, Berlinie, Londynie i Kopenhadze. Zamiar ten jednak nie przyjdzie do skutku, znakomity bowiem podróżnik zażądał prócz zwrotu kosztów podróży 10 tysięcy lirów wynagrodzenia, które to suma dla pomienionego towarzystwa jest zbyt wygórowaną.

Gorączka wojenna na Wschodzie nie oszczędziła i naszego półwyspu. Snać duch Józefa Garibaldiego żyje jeszcze wśród ludu włoskiego, a przynajmniej wśród weteranów z czasów wojen zjednoczenia, bo z dniem każdym powstają coraz to nowe komitety garibaldczyków, rozwijające gorączkową czynność przy wysyłaniu ochotników do Aten, a ztamtąd na pole walki. Ochotnicy ci, których tam jest już około tysiąca, stanowią oddzielną legią, ubraną w czerwone garibaldowskie koszule, czem odróżniają się od legii zagranicznej i od greckiego oddziału ochotniczego. Przed kilku dniami zapadła uchwała, powierzająca naczelne dowództwo nad legią ochotniczą włoską p. Gustawowi Jaraczewskiemu, pułkownikowi jazdy, mieszkającemu od lat trzech wraz z rodziną w Weronie. Nowy naczelnik, rodem z W. Ks. Poznańskiego, służył w wojsku włoskiem i używał sławy doskonałego jeźdźca i wykwintnego salonowca, przed trzema jednak laty porzucił służbę wojskową, usuwając się w zacisze domowe, i najnowsze dopiero niepokoje na Wschodzie, kazały przypomnieć o dzielnym pułkowniku.

Najważniejszym jednak wypadkiem chwili, który poruszył do głębi umysły włoskie, odwracając nawet chwilowo uwagę ich od zawieruchy wschodniej jest dokonany w dn. 22 kwietnia przez anarchistę Acciariti'ego zamach na króla Humberta. Gdy król udawał się na wyścig, Acciariti wskoczył z puginałem w ręku do powozu i tylko dzięki zerwaniu się króla na równe nogi, puginał uderzył w poduszki powozu. Przestępca został natychmiast schwytany; zdaje się, że nie posiadał wspólników i że zamachu dokonał na własną rękę, pod wpływem nieszczęsnych osobistych. Wszystkie pisma bez różnicy odcieni, potępiły zamach, a dziennik socyalistyczny *Avanti* zaznaczył dodatkowo, że nieudały zamach na króla zadał monarchii i monarsze większe usługi, niżby je najbardziej monarchiczne stronnictwo oddać było w stanie.

Przy tej sposobności przypomniano sobie przepisy kodeksu karnego włoskiego, dotyczące

przestępstw przeciw osobie monarchy. Gdy chodzi o osobę królewską, kara ciężkich robót czeka sprawcę zamachu nawet w razie, jeśli zamach nie przyszedł do skutku, bez względu na to, czy król został raniony, czy nie. Piotra Acciarito oczekuje tedy kara dożywotniego więzienia, którą odsiedzi w jednem z więzień karnych. Przez pierwsze 7 lat zamknięty będzie w zupełnem odosobnieniu z obowiązkiem wykonywania pewnych robót, w następnych latach przypuszczony zostanie do wspólnej pracy z innymi więźniami z obowiązkiem jednak zachowywania ścisłego milczenia.

Dzisiejszy kodeks karny włoski nie zna, jak wiadomo, kary śmierci. Gdy w r. 1878 ekskucharz Passanante rzucił się z nożem na króla wracającego z dworca kolejowego w Neapolu, wtedy obowiązywał jeszcze dawny kodeks. Passanante skazany został na śmierć, król zmienił jednak karę tę na dożywotnie więzienie. Zamach na monarchę karany był według ówczesnego kodeksu karnego na równi z ojcobójstwem karą śmierci przez powieszenie, przyczem skazany prowadzony był na plac stracenia boso, z głową nakrytą czarną chustką.

Z życia towarzyskiego zanotować wypada uroczystość zaręczyn panny Emilii Blochówny, najmłodszej córki p. J. G. Blocha i Emilii z Kronenbergów, z młodym księciem Ruspolim, synem księcia Ruspoli'ego, noszącego tytuł *maëstro di S. Ospizio* w Watykanie i jego żony z domu hr. Franceschi. Stryj młodego księcia jest syndykiem miasta Rzymu.

Bawił tu również galicyjski marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni, który przybył jako prezes komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie celem naocznego przekonania się, o postępie robót w pracowni p. Rygiera.

Ig. Dąb.

JULIUSZ ZEYER.

VERTUMNUS I POMONA.

(Dokończenie).

Długo czekała Śpiewanna na murach wieży, noc przyszła cicha, ale król nie przyszedł z nią. Błysła jutrzenka, za nią słońce, nadeszło południe, towarzysze króla Dzięcioła wrócili nakoniec po długiem błądzeniu, król wszakże sam znikł. Śpiewanna czekała, czekała, czekała. Ale on nie przyszedł nigdy. Wołała jego imię, ale tylko echo jej odpowiadało. Padła ze znużenia między liliami i krokusami, i blada, jak zwiędła róża, długo tam leżała. Nad nią ulatywał mały, nieznany ptak i wyrzekał niespokojnie, lecz ona w żałości swej nie zauważyła go. Wyszła w modry las. Daremnie wołała imię jego z wierzchołków gór i w głębie jaskiń, nikt nie ozwał się, prócz szumu dębów, wiania wiatrów, plusku wód i śpiewu ptaków. Śpiewanna błądziła miesiąc, błądziła dwa. Minęło lato, przyszła jesień, z drzew sypały się liście, i, niby jeden z nich, padła teraz Śpiewanna cicho koło owego wiecznie płaczącego zdroju, w najmroczniejszej gęstwie, niedaleko od wieży teraz sierocej, gdzie była z królem tak szczęśliwie żyła i gdzie powiędły teraz róże, lilie i krokusy. Żal jej był taki, że nie mogła mówić, śpiewała tedy cicho, cicho, nieustannie, śpiewała, śpiewała, aż dośpiewała... O, jakże te ciemne jej włosy podobne były nocnie ciemnym wodom, gdy rozlały się po więdnącej trawie, o, jakże te bose jej nogi podobne były liliom, a te białe jej ręce śniegom, gdy leżały tak bez ruchu na wilgotnej, brunatnej ziemi! Z tych bladych ust, bledszych niż zwiędłe roże polne, przeciągle i nieustannie, jak pluskanie zdroju, płynął powoli zacichający już śpiew, pełny tęsknoty i smutku, a z tych zgasłych oczu ciekły dwa zdroje łez, aż w żałości rozpłynęła się nareszcie Śpiewanna w modre, przezrocze powietrze. Ostatni szept smętnego jej pienia zanikł niby łkanie o szeleście suchych traw. A nieszczęśliwy ptak wydając skrzeki bolesne tłukł sobą rozpacznie o krzewy niedaleko miejsca, gdzie umierała: król to jęczał zaklęty, a w tej samej chwili zatrząsł się las cały śmiechem okrutnym: to śmiała się Cyrce!..

Tę to starą opowieść o królu zaklętym opowiadałem Pomonie, a gdym skończył, ujrzałem, że oczy jej łez pełne były.

Zabiło mi serce, bo spostrzegłem, że osiągnąłem, czegom pragnął. Chciałem ją wzruszyć opowiadaniem o wiernej i tkliwej miłości.

— Płaczesz?—spytałem z prostotą.

— Biedna Śpiewanna!—rzekła cicho Pomona. — Odczuwam tak żywo jej żałość! Wiem, co to nieukojona tęsknota, paląca, męcząca! Wiem, co to jest szukać drogiej twarzy, która nam znikła i której nie znajdziemy może nigdy, nigdy, nigdy już! Nigdy już! Powiedz, czy zna mowa ludzi i bogów straszniejsze słowo? Nigdy już!

Pomona załkała i padła mi na piersi. Trzymałem ją pewnie i głosem drżącym z trwogi i nieokreślonej jakiejś nadziei spytałem:

— Jakto? więc wiesz jednak, co jest miłość?

— Wiem, wiem! — szepnęła. — Słuchaj, ty wiesz wiele, może mi co doradzisz. Tego, którego kocham, widziałam tylko raz, przez jedno oka mgnienie. Widziałam tylko odbicie jego w krynicy w lesie. Może by mi się był objawił w rzeczywistości, ale na nieszczęście wypadł z gąszczu sam bóg Sylwanus, który spłoszył mię i przeraził...

Nie dałem jej domówić, cała prawda objawiła mi się nagle: mnie widziała w lesie i pokochała w oka mgnieniu, a ja, szalony, kryłem się w przeróżnych postaciach, by pozyskać jej miłość! Pocałowałem ją teraz tak namiętnie, że ze zdumieniem podniosła oczy. Mgła na dworze rozpłynęła się i księżyc świecił przez otwarte drzwi do izby, cały ogród bielił się w jego poświacie, drzewa były jak zaczarowane, a jeden marzący promyk błądził po mej twarzy—ale nie była to już twarz staruszki, we własnej postaci ukazałem się Pomonie, trzymając ją silnie w objęciach i całując słodkie jej usta.

— Ty sam! — wykrzyknęła w szczęśliwości niewypowiedzianej,—ty sam, mój śnie, moja tęsknoto? Jak tu przyszedłeś, ty leśne zjawisko?

I zarzuciła mi ręce na szyję, a usta jej szukały moich ust. Porwałem ją na serce.

— I ty nie poznałaś mię w różnych postaciach, w których do ciebie się zbliżałem!—szepnąłem jej prawie z wyrzutem.

— Tylko we własnej miłość zwycięża, — dała mi odpowiedź. — Jest jako prawda i słońce, te przy obsłonach tracą i sobie tylko świecą!

Tak rzekła, i znowu całowała mię, i byliśmy szczęśliwi...

* * *

Umilkł marzący głos, który opowiadał mi tę baśń z dawnego Latium, głos, co raczej w duszy, niż w uszach mi brzmiał. Nie odzywało się teraz nic, prócz drzew szumu... Byłżebym spał i śnił? Obejrzałem się. Po zjawisku Vertumna nie było śladu, wszystko znikło; nawet to wzruszenie mej duszy, przez które zdołałem tak bezpośrednio i do głębi przeniknąć nadzmysłowy wyraz na obliczu rzeczy. — Bajka! westchnąłem prawie smutnie. Ale spoglądając w dół, na równinę byłego Latium, kędy tyle minionych, zanikłych światów pod niewinnie uśmiechniętą zielenią niw leżało, pomyślałem mimowoli: Vertumnus! Ten słodki powiew wiosny powraca zawsze. Znał kolebkę Romulusa i sarkofag Cezara. Czy nie więcej też prawdy w jego bajce, niż w latopisach Rzymu?

I narwawszy kwiecia w trawie, uwieńczyłem stare drzewo, które mi cienia użyczyło, i przyzywając Fauna, Sylwana i białą Dyanę, pokłoniłem się ze czcią świętą cichemu gajowi. Potem dopiero odszukałem ścieżkę biegnącą do Albano, zkąd via Appia prowadzi do Rzymu.

Przełożył Miriam.

Kronika działalności kobiecej.

— Piękną wystawę urządził zakład gospodarczo-naukowy hr. Cecylii Zyberk-Plater, cieszący się od lat wielu ogólną sympatyą i wychowujący swe uczennice istotnie na pożyteczne pracowniczki w dziełach gospodarskim, krawieckim, przemysłowym, froeblowskim, a w przyszłości i handlowym, bo i kursa handlowe od roku szkolnego po wakacyach dodane zostaną. Obecna wystawa, która dni parę trwała napełniła pięć sal zakładu (przy ulicy Pięknej Nr. 24) systematycznie przedstawionemi przedmiotami dającemi pojęcie o rozmiarach i skutkach udzielanych wiadomości wychowankom. Więc w sali pierwszej — gospodarstwo: okazy pieczywa, ciast, konfitur, masła, serów, pielęgnowanie sztuczne kurcząt, gęsi, indyków; okazy olbrzymich kogutów i gęsi, postępowe centryfugi i warsztaty tkackie, na których się wyrabia płótna i szewioty, dowodzą że nauka idzie torem rozwoju postępowego i że tak w zakładzie warszawskim, jak w Chyliczkach robota idzie porządnie i z uwzględnieniem i zastosowaniem nowych wynalazków. Druga sala przedstawia nam prace szkółki froeblowskiej z okazami dziecinnych prób drobnych rączek malutkich uczennic. W sali trzeciej mieszczą się hafty kościelne, ornaty, kapy, ozdoby salonowe, a prawdziwym dowodem już sztuki pięknej w tym rodzaju jest przenoszenie starych haftów na nowe tło, jak to uczyniono z ornatem przysłanym do odnowienia z Łucka. Sala czwarta napełnioną została przedmiotami z zakresu krawieczczyzny i białego haftu, w piątej zgromadzono zeszyty uczennic dając obraz ich postępów w naukach elementarnych i czterech udzielanych językach. Rój gości, mianowicie pań, zwiedzało ciekawą wystawę, której szczegóły objaśniały nauczycielki i wychowanki zakładu. Wśród wielu dodatnich stron, jakie wystawa szkolna uwydatniła, podnieść musimy nietyle specyalne wydoskonalenie szczegółów niemal artystycznych, w niektórych oddziałach pracy, ile tę ogólną samowiedzę zakładu, który wie do czego dąży, na co i po co wychowuje swe uczennice, i ściśle określa im cel obranego zajęcia. W zakładzie hr. Z. Plater wychowują się i kształcą dziewczęta na gospodynie, szwaczki, hafciarki, froeblanki, i po ukończeniu odnośnego działu każda wie, do czego jest mianowicie przygotowaną i czego podjąć się może jako sumiennego zarobku. Unika się przez to— tego fatalnego nieraz zachwycenia wielu wiadomości po troszę, które do niczego nie prowadzi, chleba nie daje do ręki, a mnoży pretensye niby to ukończonych wychowannic. Życzyć zatem wypada gorąco pożytecznej instytucyi, aby się dalej rozwijała z pożytkiem dla społeczeństwa i coraz nowe dawała owoce swych umiejętnych starań i zabiegów.

— P. Marya Konopnicka napisała świeże dzieło p. t. „Nowe Latko,“ które wydaje ozdobnie firma Gebethnera i Wolffa z ilustracyami artysty malarza Stachiewicza.

— P. Siemiradzka otwiera przy swej szkole handlowej (Bracka, 25) od nowego roku szkolnego t. j. od końca Sierpnia *internat dla uczennic stałych.* Dla panien przybywających z prowincyi będzie to bardzo wygodnem pomieszczeniem się na przeciąg studyów handlowych i uchroni je od przykrego szukania sobie mieszkań i obiadów na mieście oraz chodzenia na wykłady do szkoły. Uczennice, tak pomieszczone na miejscu, będą miały wszystko pod ręką z dodatkiem

przychylnej, pedagogicznej opieki swej przewodniczki.

— Rozumny zapis uczyniła ś. p. hr. Małachowska, właścicielka dóbr Białaczewskich, przeznaczając dużą sumę na pomoc lekarską i bezpłatną aptekę dla włościan swoich w pow. Opoczyńskim. Na mocy tego zapisu obowiązanym jest lekarz mieszkający w Żarnowie do bezinteresownej praktyki między wieśniakami, a apteki w Żarnowie, Końskich i w Opocznie do udzielania darmo lekarstw. Już blisko lat 10 korzysta lud z mądrego zapisu swej dobrodziejki, unikając tym sposobem niebezpieczeństwa zabobonnych znachorów i wyzyskujących felczerów. Tak spożytkowany kapitał fundacyjny, staje się prawdziwym pomnikiem pamięci dla usług szlachetnego serca ofiarodawczyni, która bodaj znalazła naśladowców.

— W myśl § 31 statutu szkoły wyższej żeńskiej, gmina miasta Krakowa postanowiła otworzyć od 15 Kwietnia 1897 r. w założonej przez Siostry Miłosierdzia pralni przy „Domu pracy imienia arcyksiężniczki Krystyny,“ na Kazimierzu w Krakowie, Szkołę prania i prasowania. Rada zatwierdziła statut tej szkoły, na utrzymanie której płacić będzie gmina miasta Krakowa Siostrom Miłosierdzia rocznie 1,000 złr. w półrocznych ratach z góry, przez czas utrzymywania przez gminę tej szkoły w Zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Jest więc nadzieja, że wielki niedobór porządnych praczek, któreby istotnie rzecz swoją umiały, usunięty zostanie, byleby tylko wychodzące uczennice umiały przy spełnianiu swych przyjmowanych u chlebodawców obowiązków, zachować tę pilność i dokładność roboty, jakiej trzymać się muszą w takich zakładach, póki są na miejscu pod rygorem swych przewodniczek.

— Konkurs akademii nauk powszechnej pożyteczności w Erfurcie, na temat: „Najodpowiedniejszego systemu kształcenia dziewcząt klas wyższych w okresie wieku od lat 15—20,“ wywołał nadesłanie 28 prac. W tej liczbie 20 były kobiecego pióra. Nagrodę 300 marek rozdzielono między p. Ludwiką Hegen, literatką z Berlina, a p. Anną Bager Frost, nauczycielką.

— W Szwajcaryi po raz pierwszy mianowaną została inspektorka szkół żeńskich przemysłowych, w osobie pani E. Conradi Stahl z Zurichu, założycielki i wydawczyni rozpowszechnionego tygodnika dla rodzin, p. t. „Schweizer Frauenheim“ oraz wice-prezydentki Stowarzyszenia wzajemnej pomocy kobiet szwajcarskich.

Z bieżącej chwili.

— J. E. J. O. książę Naczelnik kraju zawiadomił ks. Michała Radziwiłła, że nadeszło urzędowe pozwolenie na budowę pomnika Mickiewicza w Warszawie i nadesłał równocześnie listę 12-tu osób, które wejdą w skład utworzonego w tym celu pod przewodnictwem ks. Radziwiłła komitetu.

— Zapisy i egzaminy wstępne na kursa handlowe dla kobiet p. Siemiradzkiej (przy ulicy Brackiej Nr 25), trwać będą przez cały Maj, a następnie otwarte zostaną ponownie w czasie powakacyjnym t. j. w końcu Sierpnia. Od nowego roku szkolnego otwarty będzie przy kursach internat dla uczennic stałych.

— Kwestya postawienia w jednym z kościołów miejscowych pomnika dla ś. p. Jędrzeja Śniadeckiego z zapisu ś. p. Orzechowskiego, blizką jest urzeczywistnienia. Pomnik ten stanie w kościele Opieki Św. Józefa (panien Wizytek), na co już władza udzieliła odpowiedniego pozwolenia.

— J. O. Główny Naczelnik kraju udzielił pozwolenia na zbieranie w r. b. ofiar do wysokości 10 tysięcy rs. na rzecz kolonii letnich dla chorych dzieci biednych mieszkańców Warszawy.

— W pewnej sferze kapitalistów miejscowych powstał projekt utworzenia spółki i nabycia od zarządu miejskiego kilku placów po szpitalu Dz. Jezus, położonych przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Zgoda. Na placu tym stanąć mu gmach teatralny z sklepami od frontu, lub też wielki hotel również z sklepami.

— W dniu 13 b. m. otwarta zostaje w Wilnie wystawa dzieł malarskich, w której przyjąć mają udział najcelniejsi nasi artyści.

— W dniu śmierci nieodżałowanego Edwarda Jelinka, rozstała się z tym światem młoda poetka czeska Marya Wölflówna, która ostatnie chwile spędziła w zakładzie dla ociemniałych. Przed trzema laty tygodnik czeski „Svetozor“ oznajmił czytelnikom o piętnastoletniej wówczas poetce, podając zarazem jeden z lepszych jej utworów. Wkrótce jednak nieubłagana choroba powaliła ją na łoże, przecinając w młodym jeszcze wieku pasmo życia.

— Teatrzyk Belle-vue przy ul. Chmielnej wydzierżawił na lat 12 p. Feliks Kwaśniewski. Nazwa dotychczasowa zmieniona będzie na „Odeon,“ w którym dawane będą wyłącznie przedstawienia dramatyczne.

— We Lwowie staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego zebrać się ma wkrótce konferencya krajowa w sprawie prowincyonalnego teatru polskiego w Galicyi. Konferencya ta, w której skład wejdą także wybitniejsi artyści dramatyczni, zająć się ma zorganizowaniem stałej trupy wędrownej, która pobierać będzie zasiłek roczny z funduszów krajowych.

MYŚLI.

Świat się nie rozszerzył, ale zyskał na głębi.

J. Słowacki.

Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami.

Tenże.

Zawsze jest ranek w jakiejś miejscowości kuli ziemskiej.

Dewiza zegara słonecznego.

Każdy kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudę i biedę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niźli przyjaciel serdeczny a głupi.

Fr. Morawski.

Zatruwanie się osób czytających książki, jest również zgubnem dla umysłu ich jak dla ciała byłoby np. chłonięcie małemi dawkami różnych napojów od rana do wieczora. Istnieją ludzie których źle przetrawione wiadomości, czynią głupimi tak samo, jak innych przyprawia o chorobę nadmierny pokarm.

H. B. Gausseron.

Pierwszym objawem miłości jest wzniecenie wielkiego szacunku; ma się cześć dla tego, kogo się kocha; zaiste, nie uznaje się na świecie nic równie wielkiego.

Pascal.

Nowe książki.

Niewiadomska Cecylia. O czem Zosia nie wiedziała. 20 powiastek dla dzieci. Z 3 obrazkami chromolitografowanemi. Warsz., 1897. W kartonie 1 20

Normand C. Szmaragd Inkasów. Powieść dla młodzieży. Z 4 rycinami. Przekład z francuskiego. Warsz., 1897. W kart. — 90

Opman Artur. Zagadki arytmetyczne, illustrowane. 24 obrazków kolorowych z wierszykami Warszawa 1 —

Pécaut E. i Baude K. Sztuka. Wykład popularny dla młodzieży i starszych. Podług pracy... ułożyła Janina Krakowowa. (Ze 104 rycinami). Warsz., 1897. W oprawie płócien. 1 50

Przyborowski Walery. Na Oceanie Spokojnym. Powieść dla młodzieży. Z 9 illustracyami E. Lindemana. Petersburg. 1897. W kartonie rs. 1 k. 20, w oprawie 1 70

Teresa Jadwiga. Dobre dziewczynki. Opowiadania. Z 4 obrazkami chromolitografowanemi. Kraków. Warszawa. W kartonie 1 —

— Nowe opowiadania Ciotki Ludmiły. Z 10 illustracyami M. Kotarbińskiego. Petersburg, 1896 W kartonie rs. 1 k. 20, w opr. 1 70

Warnka Jadwiga. Przy domowem ognisku. Baśnie oryginalne i naśladowane. Z 8 obrazkami chromolitografowanemi. Warszawa. W kartonie 1 20

Weryho Marya. Opowiadania prawdziwe. 16 powiastek dla dzieci od lat 6 do 10. Z 20 illustracyami T. Jaroszyńskiego. Petersburg, 1897. W kartonie — 90

— W zimie. Książeczka dla małych dzieci z rycinami St. Sawiczewskiego. Warszawa. 1897. W kartonie — 80

Witt de. W domu przez zimę. Historya małej rodziny. Podług oryginału francuskiego napisał Zbigniew Kamieński. Z 5 obrazkami Warszawa. W kartonie 1 —

Yonge K. Miss. Orla skała. Powieść dla młodzieży. Przekład z angielskiego. Z 4 rysunkami. Warsz., 1897. W kartonie 1 20

Znicz (Paprocka Marya) Uśmiech życia Powieść. Warsz., 1897. 1 50

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 7-my T. II, powieści p. t. *Taquisara*, przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: **Pogawędka**, przez ??—**Komitet** budowy pomnika Mickiewicza. — **Stara pieśń**, przez Bronisława Grabowskiego. — **Na łasce** Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—**Teatr**, przez K. Glińskiego.—**Z Rzymu**, przez Ig. Dąb.—Juliusz Zeyer. **Vertumnus i Pomona** przełożył Miriam (dokończenie).—**Kronika działalności kobiecej**.—**Z bieżącej chwili**.—**Myśli**.—**Nowe książki**.

Dodatek obejmuje: ***Taquisara***, powieść przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Arkusz 7-my T. II. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 30 Апрѣля 1897 г.